



**34. Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich
– ŁÓPTA 2021 –
edycja online**

DZIEŃ 1: 09.10.2021 r.



Słowem wstępu

Witamy na 34 Łópcie, która po raz drugi odbywa się w formie wirtualnej. W ubiegłym roku zastanawialiśmy się jak bardzo pandemia wpłynęła na teatr i sam festiwal. Niemal do ostatniej chwili nie mieliśmy pewności, czy się odbędzie, a jeżeli tak, to w jakiej formie. No i jednak się odbył. I to w jakim stylu! W tym roku, podanie jak w ubiegłym, zgłosiło się naprawdę wiele zespołów, a spektakli jest tyle, że spokojnie wypełniłyby cztery, a może i pięć dni, klasycznej Łópty.

Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich nabrał prawdziwie ogólnopolskiego charakteru. W tym roku zgłosiły się teatry z niemal całego kraju. A i dzięki swojej formie, zasięg jest nawet ogólnosiwiatowy. Szesnaście lat temu, kiedy po raz pierwszy miałem okazję być na Łópcie, nie przeszło mi przez myśl, że kiedyś tam, spektakle prezentowane na tym festiwalu, będzie można obejrzeć w Australii, Anglii, czy Wietnamie. A teraz? Nic nie stoi na przeszkodzie.

Oczywiście można narzekać, że jak to tak? Teatr, to spotkanie na żywo, rozmowa! Owszem, to prawda, sam też tak uważam i mam nadzieję, że kolejna edycja odbędzie się już stacjonarnie. Korytarze i sale Łódzkiego Domu Kultury, ponownie wypełnią się uczestnikami festiwalu. Twórcami i widzami. A w przerwach, będą trwać ożywione dyskusje na temat spektakli.

Jednak wiecie co? Świat się zmienia. Pamiętam, że wiele lat temu, w przerwie obiadowej chodziliśmy coś przekąsić do nieistniejących już budek z jedzeniem, pod dworcem Łódź Fabryczna. Później do nieistniejącej pizzerii, znajdującej się na parterze ŁDKu. Nie było Bramy Miasta, a obok domu kultury, stał nieistniejący już hotel Centrum. Sala kolumnowa, podobnie jak i cały Łódzki Dom Kultury, były przed remontem. I mogę wspominać z łezką w oku, ale chcę też zauważać nowe możliwości. Może 35 edycja będzie miała formę hybrydową? Spektakle będą grane w ŁDKu i jednocześnie streamowane na żywo, do sieci? Może niektóre teatry, które zgłosiły się po raz pierwszy, w przyszłości odwiedzą Łódź? Myślę, że przed nami jeszcze wiele, wiele dobrego. A tymczasem wracam do oglądania spektakli!

Remigiusz Pilarczyk

Nasza redakcja

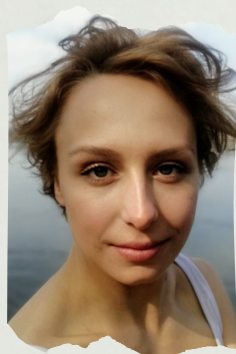
Agnieszka Kowalczyk

Od dwudziestu lat działa aktorsko i reżysersko, amatorsko i zawodowo. Począwszy od amatorskiego Teatru pod Lupą w Łódzkim Domu Kultury, poprzez musical Skrzypka na dachu w Teatrze Muzycznym w Łodzi, reżyserię kilku spektakli w tym własnego monodramu, aż do stworzenia teatru dla mieszkańców w Bieszczadach i wyreżyserowaniu spektaklu Bieszczadzkie Szalone Nożyczki, po odkrycie tam nowej pasji i pomysłu na życie czyli fryzjerstwa. Po ukończeniu stosownych kursów oraz pracy w salonie fryzjerskim w Łodzi, powróciła w Bieszczady, by tworzyć nowe spektakle i fryzury.



Julia Lewandowska

Poznanianka, pragnie utrwalać rzeczy w ich nietrwałości - nawet, jeśli chodzi o obierki po warzywach. Współtworzyła studencki teatr tańca współczesnego „Kolnspiracja”. Występowała z Teatrem Pijana Sypialnia, Stowarzyszeniem Living Space Theatre oraz w Ośrodku Praktyk Teatralnych w Gardzienicach. Absolwentka Akademii Sztuk Teatralnych na Wydziale Teatru Tańca w Bytomiu, pracuje w Teatrze Rozbark. W ciągu ostatnich lat często wykorzystuje siebie jako instrument (ale gra też na gitarze i Rav drumie przy ognisku). Marzy o życiu w teatrze na łodzi. Z pasją tworzy portrety, pejzaże i notatki z podróży.



Remigiusz Pilarczyk

Dobry chłopak z Łodzi. Pół życia spędził w teatrze, a będzie to już więcej lat, niż mają najmłodszy uczestnicy Łópty. W zasadzie, to jego staż teatralny jest już pełnoletni. A jego staż zawodowy, powoli kończy trzecią klasę podstawówki, bo ma już 9 lat. Swoją pierwszą Łóptę (XVIII edycja) pamięta lepiej, niż pierwszego cukierka od swojego dziadka. Wieloletni uczestnik, później widz, a od kilku lat również autor recenzji dla Łóptaka. Aktor a jak trzeba to i reżyser. Parę razy coś tam nawet wygrał, trochę świata zwiedził. Ostatnio wymyślił, że otworzy teatr prywatny. Dobry chłopak, dzień dobry mówi. Miłośnik weluru.



Jakub Lisiak

Były aktor teatru California. Obecnie montażysta w korpo i w wolnych chwilach na YouTube. A tych mało, gdyż czas po pracy spędza na zabawach z rocznym synem.



Kamil Tomasz Bończyk

Kamil Bończyk obliczył że teatrem zajmuje się już pół życia. Ukończył Akademię Sztuk Teatralnych w Krakowie na Wydziale Teatru Tańca w Bytomiu. Obecnie pracuje na śląskiej ziemi w Teatrze Rozbark w Bytomiu, zdarza mu się być wykładowcą na Akademii Muzycznej w Łodzi, oraz na wspomnianym Wydziale Teatru Tańca. Szuka odpowiedniego dla siebie ruchu, łudząc się że kiedyś go znajdzie. Z natury jest nieco sarkastyczny, ale zyskuje przy bliższym poznaniu.



Dariusz Zakrzewski

Aktor, lalkarz, człowiek śpiewający. Ukończył Akademię Teatralną m. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, Wydział Zamiejscowy w Białymstoku. Od wielu lat gra na scenie i prowadzi warsztaty teatralne. Nie wyobraża sobie dnia bez muzyki i jazdy rowerem. Zanurza się w film. Kocha teatr ożywionej formy. Oraz nie je martwych zwierząt.



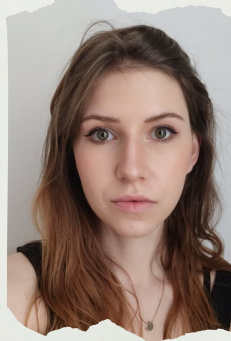
Anita Tomczak

Aktorka po filmówce i kulturoznawstwie. Improwizuje w życiu i na scenie (Teatr Improwizacji Tadam). Lubi radzić innym, jak żyć, zwłaszcza podczas prowadzenia zajęć teatralnych oraz reżyserowania spektakli z młodymi gniewnymi w rolach głównych. Koordynuje siebie, artystów i techników podczas Light.Move.Festival. Wielobicielka niesystematycznej nauki gry na ukulele, koncertów rockowych, psychiatrii i true crime.



Pola Lepakhina

Była aktorka teatru California. Z Łóptą związana od 2012 roku. Początkowo jako uczestnik, a później jako recenzentka. Aktualnie pracuje jako grafik designer, bo mimo wiletniej przygody z teatrem, to sztuki wizualne okazały się jej najbliższe. W wolnych chwilach tworzy kolaże i maluje ściany. Z czasów aktywności aktorskiej za najbardziej traumatyczne przeżycia uważa premiery i krzyki: "Czemu nie znaciek tekstu?".



Teatr Dzikie Koty [poza konkursem] „Wesele” Kłodzko	4
NOK! Teatr „Baba Chanel” Nadarzyn	6
Grupa teatralno-kabaretowa BIEDRONKI „Bo czemu by nie” Nadarzyn	7
Teatr Dzikie Koty „Ballada o mistrzu” Kłodzko	8
Teatr PARABUCH „Na wyspie” Warszawa	9
Studio Aktorskie STA [poza konkursem] „Dwunastka” Poznań	11
Studio Aktorskie STA [poza konkursem] „Marylin Mongoł” Poznań	13
Studio Aktorskie STA [poza konkursem] „Kopciuch” Poznań	15
Teatr Kompromisu nie będzie „Moniodram” Sopot	16

**Recenzja spektaklu "Wesele" w reż. s. Benedykty Karoliny Baumann Grupy teatralnej Dzikie
Koty 2 LO im. Bolesława Chrobrego w Kłodzku**

STYPA WESELNA

O "Wesele" Stanisława Wyspiańskiego od czasu swojego powstania w 1901 roku to niezwykle nośny dramat dla polskiego teatru. Tekst upowszechniony w naszej mentalności nie tylko dzięki temu, że jest lekturą szkolną - dla wielu pokoleń twórców zawiera nader aktualne treści. Wystawienie tego III-aktowego dzieła jest nie lada wyzwaniem, z racji mnogości istniejących już, ważkich scenicznych i filmowych adaptacji młodopolskiego dramatu. Jednak dzięki pasji i pracy grupy teatralnej Dzikie Koty pod opieką artystyczno-pedagogiczną siostry Benedykty Karoliny Baumann udało się zaprezentować dość wyczerpującą i gorzką w wymowie, ale jednak nadal bardzo poprawnie szkolną wersję "Wesela".

Dzikie Koty to grupa teatralna istniejąca od 2 lat w liceum Chrobrego w Kłodzku, które ma na swoim koncie już 6 premier. Nazwa grupy jednak nie współgra z moim odbiorem spektaklu. Wydawałoby się, że taniec i śpiewność tekstu może z łatwością umożliwić aktorom dynamiczną, żywiołową interpretację. Dramat Wyspiańskiego, nawet po prostu czytany, niesie w sobie zarówno rytm, tempo, jak i ważne tematy, iskrzy erotyzmem, żartem i zarazem melancholią polskiego charakteru (narodowego?). Piękno możliwych światów, które zapisane jest w didaskaliach, pozwalałyby wyobraźni poszybować. Wpadający na scenę tłum młodych ludzi, ubrany w krakowskie tradycyjne stroje ludowe oraz współczesne, weselne kostiumy, niesie nadzieję na ciekawe, barwne widowisko. Z każdą kolejną sceną temperatura przedstawienia opada jednak, pauzy ciągną się niemiłosiernie, a widz zostaje skonfrontowany z prostym zilustrowaniem zapisanego tekstu dramatu, pozbawionego zarówno wirtuozerii wykonania, jak i rytmu. Na tej samej zasadzie; łączenia między scenami, kiedy np. pięciokrotne wejście Dziada z nieśmiertelnym "cosik miałem rzec" jest delikatną przesadą w ilości powtórzeń. Większość scen zagrana jest na niskim poziomie energetycznym, z tekstem podawanym bez dbałości o frazę wiersza, mający w założeniu brzmieć "naturalnie". Przez to akcja, zamiast nabierać tempa, wlecze się, a intencje postaci nie zawsze mogą być zrealizowane w pełni. Kiedy natomiast pojawia się formalny pomysł na przeprowadzenie sytuacji scenicznej, tak jak w scenie rozmowy Poety i Maryny - dialogują, rzucając sobie jabłko - od razu nabiera to większego smaku. Dobrym rozwiązaniem, aczkolwiek za mało choreograficznie dopracowanym, jest taneczny korowód postaci. Ujęcie Racheli jest nieszablonowe - zawiera w sobie zarówno autentyczność wypowiedzi jak i ciekawy aspekt wizualny - punkowa z pomarańczowym włosom w koszulce Metalliki, ściągające perukę w momencie obnażenia siebie. Panna Młoda jest także dobrym przykładem tego, co może ze sobą zrobić postać na scenie - zawsze w intencji, z jakąś czynnością, jest dlatego bardziej przekonująca niż reszta. Choć widać zdolny, to jednak każdą kwestię aktor grający Poetę wypowiada tak samo - niskim basem, bez zmian i natężenia głosu. Dlatego sceny z Rachelą, Panną Młodą i Maryną są podobne i jest to niewykorzystany potencjał na zwaloryzowanie relacji bohatera z kobietami.

Muzyka w spektaklu jest zasługą kompozytora Kamila Bednarczyka, młodego pianisty. W wielu momentach to ona właśnie nadaje ton całości przedstawienia. Potencjał talentu orkiestry - np. skrzypaczki Julki Topolanek jest moim zdaniem jednak niewykorzystany. Charakter weselny widać w scenie na melodię kujawiaka, kiedy tłum gości robi całkiem zgrabny przemarsz z jednej kulisy do drugiej. Podobnie w scenie Poety z Gospodarzem; wtedy dzielenie tekstu w rytmie walca sprawia, że staje się on ciekawszy, miarowy, jednak wciąż nie dość udany. Zaplanowany ruch sceniczny od razu organizuje kompozycję sceny. Za to niewychoreografowane, quasi improwizowane działania nic nie wnoszą postaciom w sytuacji scenicznej. Bardzo podoba mi się za to rozwiązanie II aktu - to głos z offu pełni funkcję ukazujących się duchów, a widz ma szansę skupić uwagę na całkiem konsekwentnie przeprowadzonych monolog bohaterów.

Wolny rytm pasuje wreszcie do jednej, dobrze zagranej, z widocznymi intencjami, scenie - kiedy po całonocnym pijaństwie, w akcie III, w rozmowie Panny Młodej z Poetą ujawnia się zarówno znużenie ojczyzną, jak i głęboka do niej tkliwość. Spektakl ma rytm stypy, nie wesela. Nienaturalne spowolnienie ma uzasadnienie dopiero w "chocholej" scenie. Autentyczne tempo, które popycha akcję do przodu, pojawia się natomiast w ostatnich kwestiach pomiędzy postaciami. W finałowej sekwencji chocholi taniec jest prostym układem, który charakterem przypomina marsz zombie. Jest to adekwatny w stosunku do tekstu dramatu pomysł - szkoda, że ta scena nie jest zwieńczeniem bardziej energetycznej, żywiołowej całości. "Wesele" w reżyserii siostry Benedykty Karoliny Baumann ogląda się jak mszę - nie mogę oprzeć się wrażeniu, że przydałoby się nieco więcej gospelu.

Julia Lewandowska



[kliknij, by obejrzeć spektakl](#)

Czy można przelać stare wino do młodych bukłaków? czyli Baba Chanel.

W pewnym domu kultury, pewne emerytki - chórzystki zespołu "Olśnienie" świętują jubileusz 10-lecia. Chór prowadzi Siergiej, młody mężczyzna w którym kochają się wszystkie chórzystki. To radosne spotkanie przerywa wejście Baby Chanel czyli Rozy Nikołajewnej, protegowanej Siergieja, który w sposób obcesowy przedstawia ją jako nową solistkę.

Dramat Nikołaja Kolady "Baba Chanel" to zderzenie świata tradycji, dojrzałości, starości z głośnym, pędzącym za splendorem i wieczną młodością światem współczesnym, w którym starość budzi konsternację. Współczesny świat nie uznaje niczego co nie przynosi natychmiastowej korzyści. Do momentu gdy nie pojawiła się Roza, Kapitolina, Sara, Irida i Tamara chyba nie zdawały sobie sprawy z tego, że są nieszczęśliwe, co więc j- nie dostrzegały, a może nie chciały dostrzec, że ich życie za młodych lat było równie smutne i puste jak młodych ludzi dzisiaj. Dzięki kłótni z Babą Chanel, każda z nich zdała sobie sprawę, że wszystkich nas łączy wspólny mianownik: chcemy być kochani, zauważeni, akceptowani, żyć z pasją jak najdłużej się da. Postanawiają, iż dołączą do Rozy i Siergieja tworząc nowy chór. Dzięki czemu stare wino zyska szczyptę świeżego smaku i entuzjazmu, a młody bukłak zyska sznyt i dojrzałość.

Tyle jeśli chodzi o sam dramat Nikołaja Kolady.

Przejdźmy do realizatorów tego dramatu, czyli do Teatru NOK! z Nadarzyna.

Na początek pozwolę sobie na drobną prywatę. Mieszkam w Bieszczadach, jest tu niewielki dom kultury w którym, między innymi znajduje się chór Łopienka, którym zawiaduje pani Halinka, bardzo energetyczna emerytka. Zrzesza w tym chórze całe pokolenia. Od najmłodszych do najstarszych, po każdym koncercie wszystkich karmi produktami własnego wyrobu. A starszych: własnymi nalewkami.

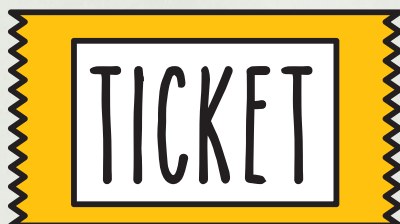
Gdy zaczęłam oglądać spektakl Teatru NOK!, zapomniałam, że to przedstawienie, a myślałam, że uczestniczę w biesiadzie Chóru Łopienka.

Spektakl "Baba Chanel" w wykonaniu Teodozji Piotrkowicz, Katarzyny Krysik, Danuty Woźniak, Katarzyny Akram, Anny Balsam oraz Marka Rejnowicza w reżyserii Kamili Michalskiej, to czysto, spójnie, i dobrze zagrany spektakl.

Reżyserka, pięknie i oszczędnie poprowadziła aktorów przez meandry sprzecznych ze sobą emocji, unikając przerysowywania i groteskowości postaci.

Brawa należą się wszystkim aktorom, a zwłaszcza czterem aktorkom wcielającym się w postaci: Kapitoliny, Sary, Iriady i Tamary. Panie bardzo dobrze współpracowały ze sobą na scenie, wzajemnie się słuchając. Nawet przez chwilę nie wychodziły z roli, co świadczy o ogromie pracy jaką wykonały podczas prób dopracowując każdy gest i słowo. Z lekkością i naturalnością poradziły sobie z przekazaniem słodko-gorzkiej prawdy o naszym świecie i emocjach bohaterek, które grały. Uwagę zwraca nie tylko dobra gra aktorska ale również scenografia i piękne kostiumy. Wszystko ze sobą współgrało, nie było żadnej niepotrzebnej rzeczy czy rekwizytu, tworząc prosty i pełny obraz. Spektakl Teatru NOK! bez wstydu może konkurować z zawodowymi spektaklami.

Agnieszka Kowalczyk
Ocena 5/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Recenzja, bo czemu by nie

Grupa Teatralno-Kabaretowa Biedronki z przedstawieniem "Bo czemu by nie", to blisko 40 minut obcowania z pozytywną energią aktorów. 7 Biedronek wcielając się w przeróżne - dość znane - role, m.in. takie jak: Kopciuszek, Kózka ze znanego powiedzenia, czy Dżepetto i Pinokio, wychodziło na scenę z zamiarem rozbawienia "publiczności". Niestety "publiczności", bawić nie mogło, wszak ŁÓPTA w tym roku - w trybie online. Ta wirtualna specyfika występu, to dla formatu kabaretowego wielki cios. Obcowanie z publicznością i możliwość reagowania na jej zachowania, to lwia część wydarzenia jakim jest występ kabaretowy. Pewną "nażywość" spektaklu pozwoliło zachować nagranie, które nie korzystało z magii montażu, z czego bardzo się cieszę, bo osobiście takie właśnie NIEZMONTOWANE wolę.

Biedronki skradły moje serce od pierwszych minut nagrania, bo - jak to się mówi - vibe - mają fantastyczny! I w tym stanie lekkiego już zauroczenia próbowałam dać się rozbawić, bo taką rozrywkę mi obiecano. Jednak skłamię, jeśli powiem, że się udało. Być może jestem już za stara, albo może kabaret, to nie jest ten rodzaj komedii, który do mnie trafia, albo, może zabrakło, wspomnianej wyżej, publiczności, która bez wątpienia pomaga aktorom, wychodzić na scenę z buzującą energią i zaangażowaniem.

Kabaret, który znam, to forma przerysowana o zabarwieniu satyrycznym, bawiąca się bezwstydnie kiczem. I tych właśnie elementów trochę mi brakowało. Skecze, które zostały przedstawione, miały zakończenia tyćko wywrotowe, jednak przewidywalne. A ta przewidywalność tłamsi satyryczność. Bohaterowie za mało wyraźni, tak sobie myślę, że pomogłyby bardziej charakterystyczne stroje, bo same Biedronki charyzmę mają! Tylko rzecz w tym, że póki odbiorca próbuje odgadnąć kim jest bohater oglądanego skeczu, dowcip ucieka lub nie wybrzmiewa. Kicz, o którym wspomniałam chciałabym widzieć w inscenizacji, ale to rzecz jasna, tylko moje widzimisię.

Przechodząc do gry aktorskiej - na moje oko, jest nieźle! Wspomniałam już o tym, jaką sympatię aktorzy budzą. W tym konkretnym nagraniu moje serce skradli bardziej chłopcy, a wynikało to z tego, że byli bardzo wyraźni i potrafili granym przez siebie postaciom nadać cechy swojej osobowości. A właśnie z tego rodzaju aktorstwem kojarzy mi się kabaret. Wyjaśniając - w mojej głowie - jest to mniej tworzenie nowej roli, a bardziej nadawanie postaci cech własnych. Co wpływa na pewną spójność, a także pomaga budować dowcip pomiędzy zmieniającymi się skeczami. Bo w kabarecie i aktor, i postać są tak samo ważni. Być może warto popracować nad mocniejszym akcentowaniem waszych cech, po to by kreowane postacie były nie do pomylenia i natychmiastowego rozpoznania. Tak by widz nie miał wątpliwości kiedy na scenie jest aktor, a kiedy bohater.

Reasumując - Biedronki! Jest fajnie. To nie jest jeszcze etap, gdy boki można zrywać, ale jesteście na dobrej drodze. Mam taką fantazję, by zobaczyć Was w skeczach, które są WASZE, dotyczą problemów, które WY macie, podejmują tematy, które WAS interesują. Trzymam kciuki za Wasze dalsze poczynania, bo nie da się Was nie lubić, ale jestem pewna, że stać Was na dużo więcej! Mam nadzieję, że do zobaczenia za rok!

Pola Lepakhina

Ocena: 3,5/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Dziki Koty śpiewają Balladę o Mistrzu.

Brawo! Młodzi artyści spisali się na medal. Ich spektakl w unikatowy sposób porusza temat życia i twórczości narodowego wieszczki Adama Mickiewicza. Lecz nie czyni tego w sposób banalny czy wyświechtany. Autorzy pochylają się nad niepewnościami i wątpliwościami pisarza, co czyni przedstawienie bogatszym w sensy i niedopowiedzenia. Ale co najważniejsze, jest to musical. Ale jak zaśpiewany musical! Ogromne brawa należą się wszystkim artystom. Kunszt wokalny, wymowa, dykcja, artykulacja, emisja głosu, wszystko to stoi na najwyższym poziomie. Piękno utworów Mickiewicza, połączone z silnymi, zjawiskowymi głosami wykonawców, nie raz pozostawiło moje oczy mokrymi. Dreszcze, ciarki i szal! Te Koty naprawdę mają pazura. Pochwalić należy również fakt, że muzyka skomponowana przez Przemysława Piechockiego, grana była na żywo przez równie wysokiej klasy muzyków.

Tekst „kraj lat dziecinnych, on zawsze zostanie święty i czysty jak pierwsze kochanie” powtarzany jak mantra, na długo zostaje w głowie i w sercu odbiorcy. Dotyka tych czułych strun, pozwala na nowo przypomnieć sobie co jest w życiu ważne, pochylić się nad sensem Ojczyzny. Dzięki aktorom słowa te wyzbyły się nawet cienia banału. Ci młodzi ludzie dali serca słowom wypowiedzianym i śpiewanym.

Kacper Górak w iście mistrzowskim stylu wcielił się w postać Mistrza. Ta trudna, wielowarstwowa rola nie przerosła młodego aktora. Jego piękny, mocny, a co najważniejsze wzruszający głos to wielki skarb grupy z Kłodzka. Ten młody mężczyzna zagrał nad wyraz dojrzałe, nie uciekając w młodzieżowe sztuczki. Nie zdziwiłbym się gdyby w przyszłości zaczął studia na kierunku wokalnym. Czego jemu i potencjalnym słuchaczom życzę.

Poezja, czyli Magdalena Kurowska to osoba z wielkim talentem aktorskim. Nie dość, że wspaniale śpiewa, to (wśród aktorów pierwszoplanowych) wykazała się największą naturalnością i prawdą. Była wiarygodna, szczerza i bezpretensjonalna. Wróżyć tej młodej dziewczynie wielką karierę.

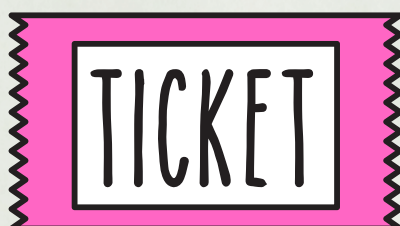
Powtórzę, że, rzecz jasna, cały zespół aktorski zasługuje na wielkie brawa. I Maryla (bardzo urocza) i Młodzieniec (żywotny), Świtezianka (wielki głos), a także cały chór Rusalek i Duchów, który w wariacjach na temat „Carmen” Bizeta zachwycił mnie i porwał swoją intensywną energią. Świetny śpiew zespołowy!

Spektakl mieni się rzetelnością i wielkim nakładem pracy. Tu słowa uznania należą się siostrze Benedykcie Karolinie Baumann. Jedynie żarty z początku spektaklu mogłyby być ciut mniej ostro ciosane. Ale z drugiej strony pozwólmym młodym być młodymi. Natomiast nawiązanie do Słowackiego i Chopina zdecydowanie wyborne. Tak samo żart na temat lektur szkolnych. Scena, w której Mistrz mści się na Maryli poprzez tworzenie, uderza, jest mroczna, a zarazem urokliwa. Pełna emocji.

Reasumując, młodzież z Kłodzka ukazała twórczość Adama Mickiewicza w przystępny, ciekawy i nowatorski sposób. Utwory pozostają w pamięci (co znajduję jako wielki atut). Spektakl ma swoistą, jedyną w swoim rodzaju atmosferę. I rzeczywiście może stanowić remedium na dzisiejsze, często zasmucające czasy. Ale za słowami Poezji: „Przestań się uzalać. To wyobraźnia, część twojego serca.” Gorąco polecam.

Dariusz Zakrzewski

5/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Na (już) nie tak bardzo bezludnej wyspie.

Kto z Was zastanawiał się kiedyś nad tym, co by ze sobą zabrał na bezludną wyspę? Książkę, film, serial, szachy? To ostatnie wydaje się być całkiem sensowne. Wszak ile razy można oglądać ten sam film, czy czytać tę samą książkę? Natomiast każda partia szachowa, to nowa rozgrywka, nowe wyzwanie. A i na upartego można zagrać z samym sobą.

W ten sposób zabijał swój wolny czas, rezydent pewnej, nie tak do końca już, bezludnej wyspy. Pewnego dnia, jego spokojną i dość monotonną egzystencję, zakłócił nowy rozbitek. Liczebność tej do niedawna, niemal bezludnej wyspy, podwoiła się i zaczęła wynosić dwóch mieszkańców. Dla starego rozbitka, było to o jedną osobę za wiele.

Mamy do czynienia z bardzo krótką formą, której bliżej do etiudy, niż dużego spektaklu. Zresztą okoliczności powstania tekstu, tłumaczy sam jego autor w krótkim nagraniu przed spektaklem. Jednak nie oznacza to, że w ciągu tych piętnastu minut nie pojawiają się żadne treści, a spektakl jest o niczym. Wręcz przeciwnie! Lubię powtarzać, że mniej znaczy więcej i tak jest w tym przypadku. Dwóch aktorów, krzesło, stolik i szachownica wraz z szachami. To wszystko. Kameralny spektakl na dwóch aktorów, bez zbędnych rekwizytów, przeznaczony na małą scenę, poruszający wątki egzystencjalne. Dodatkowo upływ czasu jest zaznaczony poprzez blackouty pomiędzy kolejnymi scenami. Brzmi znajomo? Myślę, że nie tylko mnie mogło to przynieść na myśl pewien spektakl o oczekiwaniu na niejakiego Godota. Oczywiście w tym przypadku mamy do czynienia z dużo krótszą i mniej rozbudowaną formą, jednak myślę, że skojarzenie jest na miejscu.

Kolejnym skojarzeniem, które mi się nasunęło, jest aktualna sytuacja epidemiologiczna. Wiem, że ten tekst powstał wiele lat temu, a i sam spektakl nie sugeruje żadnych nawiązań do pandemii. Jednakże da się odnaleźć pewną paralelę pomiędzy przymusową izolacją na wyspie, a przymusową izolacją w domu. W jednym i drugim przypadku pojawia się pytanie dotyczące przebywania z samym sobą. Ponoć ludzie, często lgną do innych, bo boją się samotności. Tego, że będąc tylko ze sobą, będą się nudzić. Będą niewystarczający dla siebie samych. Tymczasem podczas tej przymusowej izolacji wiele osób zrozumiało, że ten czas z samym sobą, jest czymś bardzo wartościowym. I nie są aż tak bardzo uzależnieni od potrzeby kontaktu z innymi, jak im się wcześniej zdawało. Przeciwnie, niektórzy się w tym wręcz rozlubili. I na naszej wyspie mamy podobną sytuację. Stary rozbitek odnalazł się w swojej sytuacji i nie potrzebuje niczego więcej. Jednak obecność nowego rozbitka sprawia, że w życiu pierwotnego „króla” wyspy, wszystko zaczyna się stopniowo zmieniać. Czy będąc pogodzonym z samotnością, możemy pod wpływem impulsu, zatęsknić za ludźmi? Celowo nie opisuję nazbyt szczegółowo samej historii, gdyż chciałbym, byście poznali ją sami. I odczytali po swojemu. Podobnie jak autor tekstu, nie chcę nasuwać swojej interpretacji zakończenia.

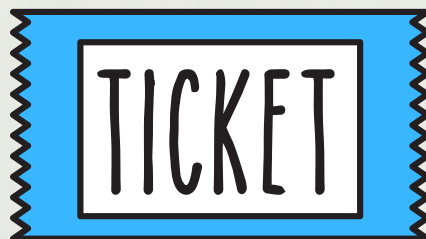
Sam tekst, autorstwa Pawła Nowaka, pomimo swej prostoty, jest bardzo treściwy. W ciągu kilku minut pojawia się zarówno poczucie humoru, jak i poważne treści. A do tego wszystko zachowuje właściwe proporcje. Naprawdę warto to docenić, bo przy tak krótkim scenariuszu, zachowanie tych proporcji, wbrew pozorom, nie jest łatwe. Ogólnie, to cały ten spektakl dobrze utrzymuje proporcje. Osobiście bym może trochę zmienił jego rytm, dodał trochę więcej ciszy i spokoju. Popracował trochę nad atmosferą i „byciem” aktorów na scenie. Reżysersko i aktorsko jest sprawnie i według prawideł. W każdej ze scen jeden z aktorów jest aktywny, drugi statyczny. Jednak, chciałoby się, żeby jeszcze nad tym popracować. Wypełnić tę przestrzeń energią i intensywnością. Można siedzieć przy stole i grać w szachy, ale jednocześnie robić to w taki sposób, że widz nie może oderwać oczu. Nie trzeba biegać po scenie, by być bardzo dynamicznym. Jeżeli zachowamy pewnego rodzaju gęstość ruchu i jego jakość, sprawimy wrażenie jeszcze bardziej intensywnych. I jeszcze bardziej przyciągniemy wzrok widza. Wypełnimy całą przestrzeń sceny. Do tego potrzeba też bardzo dużej świadomości tego co robimy, jak robimy, po co robimy. Oczywiście całość wymaga wtedy jeszcze większej precyzji reżyserskiej, żeby aktorzy się uzupełniali, a nie przeszkadzali sobie.

No trochę mi tego tutaj zabrakło, miałem wrażenie, że wszystko jest zbyt słabo wypełnione, zbyt zimne. Jednakże mam też wrażenie, że ten spektakl, przy odpowiednim nakładzie pracy, może wznieść się na wyższy poziom.

Myślę, że warto obejrzeć ten spektakl. Zwłaszcza, że to ledwie kilka minut z życia. Może i nie odkrywa przed nami prawd i tajemnic naszej egzystencji, ale na pewno jest on o czymś ważnym, a to już bardzo dużo.

Remigiusz Pilarczyk

Ocena: 4/5



[kliknij, by obejrzeć spektakl](#)

"Cały świat jest popieprzony jak dupa szatana"

Tak właśnie widziany jest świat oczami Wery, jednej z bohaterek „Dwunastki” spektaklu, który porusza temat wykluczenia. Akcja dzieje się w pewnym ośrodku wychowawczym, który dla młodzieży jest karą za nieodpowiednie zachowanie, słabe wyniki w nauce, czy niespełnione oczekiwania rodziców. Umieszczenie dzieci w tym miejscu może być także dowodem porażki lub bezsilności rodziców czy opiekunów.

Winny jest świat dorosłych.

Spektakl rozpoczyna się od postaci Lily, będącej duchem zmarłej siostry jednego z bohaterów. Lily przy akompaniamencie muzyki znanej z filmu animowanego „Anastazja” tańczy, podkreślając oniryczną przestrzeń w tym spektaklu.

Sekwencja początkowa jest dość długa, trwa ponad jedną minutę. Aktorka tańczy, poruszając się krokiem walca, a raczej jego luźną interpretacją. Właściwie nic dziwnego, ponieważ w muzyce padają słowa „...w rytmie walca raz dwa trzy, to się na pewno śni...”, więc rozwiązanie ruchowe samo się nasunęło. Oczywiście krokom walca towarzyszą swobodne ruchy rąk i obroty. Te wszystkie zabiegi to prosta receptura na bardzo nieciekawą scenę ruchową, mającą rozpocząć spektakl.

Następnie dwie bohaterki wybudzają się, a scena wypełnia się wychowankami ośrodka, tutaj cała plejada najróżniejszych osobowości: buntownicza Wera z kolorowymi pasmami włosów w skórzanej kurtce, fan Elvisa, muzulmanka, osoba niebinarna, chłopak na wózku, autystyk, „nowa” która zjawia się po raz pierwszy w ośrodku, opiekunka i jeszcze parę osób. Bohaterowie mówią o sobie, podkreślając swoją odmienność, właściwie to czują się uznani za nienormalnych. Często także wyjawiają powód dla którego się tam znaleźli, wybuchają jakieś słowne utarczki, wyraźny jest także sprzeciw wobec rzeczywistości. Rysuje się przestrzeń, która w oczach widza daje szansę na zjednoczenie się bohaterów, w obliczu wspólnej sprawy pod nazwą: „REWOLUCJA”.

Zdarzenia te są przerywane przez wiadomości telewizyjne w formie projekcji na ścianie. Redaktorka mówi, że jedenastka osób z ośrodka zamknęła się i grozi wysadzeniem budynku. Ta informacja wywołuje poruszenie, pojawia się przekonanie, że ktoś puścił plotkę, wszyscy obrzucają się oskarżeniami, pragną ustalić kto jest temu winny.

To zdarzenie ma popchnąć dramaturgię do przodu; jednak jest nieprawdopodobne i naciągane. W konsekwencji większość bohaterów w zamieszaniu opuszcza scenę, dając przestrzeń rozmowy osobom, które nie opuszczają przestrzeni gry. Dialogi bohaterów mają nam przybliżyć choćby to, na czym polega niebinarność, bycie sparaliżowanym od pasa w dół, bądź jakie skutki niesie za sobą ksenofobia.

Nie ukrywam, że zespół wykazuje się empatią i wrażliwością względem tych tematów, jednak realizują się one nieco powierzchownie. Sceny w swojej konstrukcji są proste, stawiające na istotę dialogu, któremu brakuje emocjonalnej głębi, wszystko w rozmowie jest dość płaskie. Jednakże widz może więcej dowiedzieć się o poszczególnych postaciach.

Znajduje się winowajca, który sam się przyznaje - twierdzi, że do wszystkiego nakłonił go duch zmarłej dziewczyny. Grupa podejmuje decyzję, by nie zostawić tej sprawy; tym razem bez sporów przechodzą do działania. Hakuja telewizję; na ścianie pojawiają się kolejno wszyscy bohaterowie, wyrażający sprzeciw wobec władzy, edukacji, mediów, świata. Jest to w moim odczuciu niezbędny protest, mający na celu zwrócić uwagę na stan psychiczny współczesnych nastolatków oraz na ilość popełnionych przez nich samobójstw. Pokazane barwne postaci w tym spektaklu różniące się między sobą, są reprezentantami rzeczy, przez które nie są zrozumiani.

Wołają o zainteresowanie, miłość, akceptację i bycie wysłuchanym, zwracają uwagę na nawarstwiający się ogrom problemów trawiących młodzież, dzięki czemu naświetlają ważne zagadnienie, wobec którego nie powinniśmy przechodzić obojętnie.

Kamil Bończyk



kliknij, by obejrzeć spektakl

„Merylin Mongoł” Studia Aktorskiego STA to spektakl dyplomowy, wieńczący trzyletnią edukację. Absolwenci mogą podejść do egzaminu eksternistycznego ZASP i zostać dyplomowanymi aktorami. Biorąc pod uwagę powyższą kwestię, renomę Studia STA oraz doświadczenie jego kadry – zamierzam traktować „Merylin” jako produkcję profesjonalną, nie amatorską. Taryfa ulgowa zostaje oficjalnie wyłączona. Bęben maszyny oceniającej jest pełny.

Osobiście jestem wielką fanką dramatów Nikolaja Kolady (z mniejszym entuzjazmem podchodzę do jego reżyserii i prowadzenia warsztatów). „Merylin Mongoł” jest od wielu lat szczególnie bliskie mojemu sercu. Widziałam kilka realizacji, sama aktorsko mierzyłam się z tym tekstem, tak więc do rzeczonego spektaklu STA podeszłam ze szczególną uważnością.

Tytuł, w oryginale Murlin Murło, jest kombinacją imienia Marilyn Monroe i słowa „murło” – gęba. Autor przekładu, Jerzy Czech, dołożył wisienkę na torcie w postaci tłumaczenia na „Mongoł”, co doskonale sprawdza się w polskich realiach. Naszym sportem narodowym jest sprowadzenie kogoś do miana „downa”, „lesby”, „Żyda”, czy „ciapaka”. Nie inaczej jest w rosyjskim Szypiłowsku, gdzie dzieje się akcja naszego dramatu. Tutaj wyśmiewanym odmieńcem jest Olga, tytułowa bohaterka. Delikatna, wysokowrażliwa, empatyczna, neurotyczna, z historią zaburzeń/choroby psychicznej, mająca omamy wzrokowe i słuchowe oraz urojenia religijne, prawdopodobnie intelektualnie opóźniona. Można nazwać ją „świętą” lub „wariatką”, w zależności od środowiska, do którego trafi. Paulina Zwierz wcieliła się w postać Olgi nieco niekonsekwentnie, raz będąc świadomą, raz grając tzw. „wariatkę”, często zbyt powierzchownie i zewnętrznie, korzystając z rozwiązań takich jak np. wytrzeszczanie oczu. Odnosiłam wrażenie, że czasem tylko wykonuje zadania reżysera, od jednego do drugiego, bez myśli łączącej. Być może zabrakło tutaj solidnej analizy roli, „autentycznego przeżywania” w postaci a nie jej „odgrywania” (Stanisławski). Mimo wszystko, Paulina Zwierz w roli Olgi bywała przekonująca, zwłaszcza w scenach dwójkowych z Aloszą. Stworzyli ciepłą relację, dzięki której dla widza staje się w końcu jasne, w jaki sposób naiwność i nieprzystosowanie Olgi może prowadzić do jej kontaktów seksualnych z mężczyznami.

W Szypiłowsku, miejscowości, gdzie nawet psom nie chce się czekać, Olga jest pośmiewiskiem. Znajdujemy się w mieścinie biednej, przemysłowej, gdzie o nozdrza smutnych robotników wracających z fabryki walczą zapachy z zakładów jajczarsko-drobiarskich z wonią płynącą z koksochemii. W repertuarze atrakcji programowych Szypiłowska jest: bicie żony, pranie konkubenta, picie czystej wódki z musztardówek oraz oczekiwanie na koniec świata.

Do tej dziury na mapie trafia Aleksiej, Alosza – nowy lokator na stacji w mieszkaniu matki Olgi. Wielbiciel wielkiej literatury rosyjskiej, „broniący ideałów”, ułożony i spokojny. Niestety, po pobycie w Szypiłowsku nawet on powie: „Dom wariatów! [...] Chcesz sznur namydlić, żeby się powiesić – nie ma mydła! Chcesz się utopić – rzeka tak śmierdzi, że się człowiek zryga, zanim wejdzie do wody. Chcesz wyjechać – wyłączają światło!”. Maksymilian Cichy wybitnie odegrał przemianę Aloszy między pierwszym a drugim aktem. Kto by pomyślał, że lekka zmiana spojrzenia, barwy głosu, ułożenia mięśni twarzy, da taki efekt. Aktor za pomocą szlachetnych środków wyrazu przekazał wszystko, co trzeba. Uratował też ostatnie sceny, gdzie przyniósł wyczekiwane wzruszenie. Chapeau bas!

W kontrapunkcie do Aloszy znajduje się Misza, agresywny sąsiad Olgi. Od początku tej recenzji posługuję się etykietami, więc na potrzeby skrótu, tę postać spokojnie mogę nazwać „dressem”. Równie bezpośrednio dodam, że jego głównym zajęciem jest bicie i zapładnianie żony, picie czystej oraz uprawianie umiarkowanego konsensualnego seksu z Olgą. W interpretacji Huberta Cabana zabrakło głębi i dwoistości natury Miszy. Lekko wychodzi ona na powierzchnię w jego ostatniej scenie, jednak niewystarczająco. Myślę jednak, że powodem może być brak szans otrzymanych od reżysera, który dosłownie zepchnął Miszę na dalszy plan. Jeżeli mnie pamięć nie myli, w oryginale to właśnie do Miszy, nie do Inny, należał monolog o tym, że w telewizji pokazują zakłamywany obraz świata, a naprawdę nie istnieje nic poza „tym zaszranym Szypiłowskiem”. Caban dość sprawnie pokazał swoją postać, nie wpadając w pułapkę karykaturalnego „dresa”, choć z chęcią zobaczyłabym, jak radzi sobie z głębszą i szerszą interpretacją postaci.

Czwartą postacią jest Inna, starsza siostra Olgi. Głośna, wulgarna i bezczelna, przykrywa nieszczęścia litrami wódki i przygodnymi romansami. Jej mąż utopił się w rzece, albo ją zostawił, nigdy się tego nie dowiemy. Paulina Wójcik doskonale sprawdziła się w tej roli. Była odważna, kolorowa, świadomie dozowała środki. Tylko na króciutkie momenty wpadała w kliszę „grania pijaczki”, co jak wiemy, dla wielu aktorów jest zgubne. Ciekawym zabiegiem była jej maniera mówienia, gdzie na koniec zdań dodaje przeciągnięte samogłoski czy spółgłoski („haa”, „aaa”, „mmm”) zamiast znaku zapytania. Drobną uwagę: było tego za dużo. Dzięki Wójcik dogłębnie poczuliśmy, że Inna jest równie nieszczęśliwa jak każdy mieszkaniec tego zapomnianego przez Boga miasta.

Czy aby na pewno zapomnianego? Niestety nie! Reżyser (Piotr Dąbrowski) dodał do spektaklu jedną postać, która nie występuje w oryginalnym dramacie Kolady – Zjawę. W mojej ocenie ten pomysł połączony z jego wykonaniem był absolutnie chybiony, powodujący odczucie żenady i frustracji. Bolesne jest bowiem, kiedy ogląda się spektakl sprawny reżysersko, aktorsko i realizacyjnie, by w chwili ufności zostać uderzonym w miękkie podbrzusze. Nieudolną rolę Zjawy, reżyser wraz z aktorką Anną Elizabeth Bloem, wyrwają nas z mieszkania Olgi i rzucają w odmęty nieprzyjemnego absurdu. Nie da się oprzeć wrażeniu, że Anna Bloem też od początku nie wie na czym polega jej rola. Początkowo widzimy ją jako laborantkę w kombinezonie, co przywodzi na myśl skojarzenia z okolicznymi fabrykami Szypiłowska. Następnie Zjawa wydaje się być Matką Olgi i Inny i ta koncepcja nosiła znamiona sensu. Matka, która czai się w tle jako swoisty master of puppets, sączący poglądy do uszu córek. Niestety... stała się tragedia tego spektaklu, Zjawa założyła obrus będący do tej pory na stole i stała się Maryją. Sam pomysł scenograficzno-kostiumowy uważam za wybitnie trafiony, szczerze, Niestety nie w tym kontekście. Nie chodzi o to, że postać Matki Boskiej została skalana i wyrażona obrusem – to by pasowało do przasnej („paździerzowej”) estetyki Szypiłowska. Jednakże nie było to konsekwentne wobec reszty kostiumów i scenografii, w związku z tym przywiodło na myśl nieestetyczne jasełka w podstawówce. W ujęciu dramaturgicznym dodanie postaci Zjawy jest zbrodnią na tekście Kolady. Wiemy, że Olga ma halucynacje i widzi Boga, który jawi jej się jako „dziadus z brodą” siedzący w kącie. Po zanurzeniu się w świat Kolady nie jesteśmy pewni, czy Olga ma zaburzenia, czy może faktycznie jest wybranką. Nie jest to nawet ważne, bo jej relacja ze Stwórcą jest magiczna i wzruszająca. Monolog Olgi, kiedy odchodzi od niej Bóg, a Alosza traci dobro, rozrywa serce. Na nieszczęście, reżyser odarł nas ze wzruszeń i magii tej sceny. Albowiem Matka Boska Obrusowa jest na scenie, kropi czerwone łzy z fiołki, nie pozostawiając nam żadnego pola do wyobraźni. Maryję widzą wszyscy. Bóg to nie dziadzius z brodą, a młoda, nieobecna dziewczyna, zmagająca się z wymową języka polskiego. Być może Zjawa była dobrym pomysłem reżyserskim, tylko źle przeprowadzonym? Tego się już nie dowiemy, na pewno przed Anną Elizabeth Bloem dużo pracy nad warsztatem i świadomością bycia na scenie.

Na uwagę zasługuje scenografia (Łukasz Mleczak), minimalistyczna, ale sugestywna, przywodząca na myśl „Dogville” von Triera. Podział na pokoje i niewidoczne ściany były konsekwentnie i bezbłędnie ogrywany przez aktorów. Obecność grzejnika olejowego cieszy oko i stanowi symbol porównywalny do samowaru u Czechowa.

„Merylin Mongoł” Studia Aktorskiego STA to spektakl dobry, treściwy i wart obejrzenia. Reżyseria Piotra Dąbrowskiego poprowadziła aktorów w pożądane rejony oraz przyniosła wiele ciekawych rozwiązań scenicznych (uderzanie w worek treningowy wykorzystane na kilka sposobów, czy też sam początek, gdzie postaci wyłaniają się z ciemności i ostrości, a Misza niczym nagi zwierz czai się na Olgę). Mimo zabiegu dodania Zjawy (którego wybaczyć nie zdołam), pozostaję zaintrygowana STA i z chęcią obejrzę kolejne ich spektakle.

Anita Tomczak



kliknij, by obejrzeć spektakl

Należy kochać Teatr, a nie siebie w Teatrze.

K.S.Stanisławski

Ten cytat możemy zauważyć na samym początku spektaklu, swoją drogą nazbyt chaotycznym. Jest on umieszczony nad wejściem na scenę Studia Aktorskiego STA. A jako, że jest mądry i bardzo pasuje do charakteru festiwalu amatorskiego (amator - ten kto kocha to co robi) to postanowiłem go tutaj przypomnieć. A przechodząc do rzeczy i Kopciucha...

Spektakl powstał w oparciu o dramat Janusza Głowackiego, pod tym samym tytułem. Do podmiejskiego zakładu poprawczego dla dziewcząt przybywa wielkomiejski reżyser. Oficjalnie chce zrealizować, wraz dziewczętami, spektakl teatralny oparty na baśni braci Grimm. Mniej oficjalnie, wbrew zapewnieniom o tym, że „nie szuka taniej sensacji” kręci film dokumentalny o podopiecznych domu poprawczego. Udział w dokumencie jest oczywiście dobrowolny, jednak despotyczny zastępca dyrektora, niezbyt subtelnie sugeruje, że niesubordynacja nie będzie tolerowana. Toteż udział w projekcie jest dobrowolny, ale w praktyce obowiązkowy. Rozpoczyna się gra w której każdy ma swój własny interes. Reżyser chce za wszelką cenę nakręcić materiał, który przyniesie mu międzynarodowe uznanie. A zastępca dyrektora chce leczyć swoje kompleksy i zrekompensować fakt, że jest nieszczęśliwy w życiu. A jeżeli uda mu się zdobyć odrobinę sławy, dzięki występowi w filmie, to tym lepiej. To co ich łączy, to fakt, że są gotowi zrobić wszystko, byle tylko osiągnąć swój cel. Nawet kosztem podopiecznych zakładu. Kosztem ich życia i zdrowia. Jest to spektakl o manipulacji i tworzeniu ułudy wyborów i decyzji. Jest to spektakl o utracie kontroli nad własnym życiem.

Pod względem aktorskim, spektakl stoi na dobrym, dość równym poziomie. Jednakże momentami można odnieść wrażenie, że aktorki i aktorzy odrobinę „przepalają”, wchodzą na zbyt duży poziom intensywności. W połączeniu z przybraną formą, momentami spektakl staje się lekko karykaturalny. A wspomniana forma przykrywa całość. Jest to jednak mała uwaga, dość łatwa do skorygowania. Naprawdę warto docenić wszystkie aktorki i aktora (gra rolę żeńską, co więcej w sposób naturalny i wyrazisty, nie ma w tym niczego groteskowego), grających podopiecznych zakładu poprawczego. Może stworzone przez nich role, momentami zbyt mocno ocierały się o stereotypy i lekką sztampę, ale w ogólnym rozrachunku, to naprawdę dobra robota!

Nagranie zostało zrealizowane w konwencji teatru telewizji. Spektakl został nagrany przy pomocy kilku kamer. W związku z tym, że akcja nie rozgrywa się w jednym miejscu, możemy poczuć się jakbyśmy oglądali... Dokument o tworzeniu dokumentu o realizacji spektaklu teatralnego w zakładzie poprawczym. Szczególnie, że aktorzy czasami zwracają się bezpośrednio od kamery. Całość się trochę zagmatwała. Wydaje mi się, że w scenach nagrywanych kamerą „z ręki” mamy obraz z kamery reżysera, niejako wewnątrz spektaklu. Być może w normalnej sytuacji, te sceny byłyby realizowane w formie projekcji. No brzmi to zagmatwanie, ale w rzeczywistości jest dość czytelne.

Całość jest zrealizowana w sposób przemyślany i profesjonalny. Mimo wszystko pozwolę sobie nie wystawić oceny. Dlaczego? Ano dlatego, że Studio STA jest to studio aktorskie, a festiwal jest festiwalem amatorskim. Ponadto sam spektakl jest spektaklem dyplomowym. Ciężko oceniać w tych samych kryteriach spektakle tworzone w domu kultury, po godzinach i spektakl dyplomowy, któremu poświęcono znacznie więcej czasu. Zawsze będzie to dla kogoś krzywdzące. Toteż recenzja pozostanie bez oceny. Natomiast na pytanie, czy warto obejrzeć spektakl? Odpowiem, że warto.

Remigiusz Pilarczyk



kliknij, by obejrzeć spektakl

Teatr z Sopotu głosi, że Kompromisu Nie Będzie.

I trzeba przyznać, że spektakl jeńców nie bierze. Czuć w głównej aktorce wielką pasję i zamiłowanie do nieoczywistego teatru. Jej intensywna energia udziela się widzowi, nie pozwala oderwać się od abstrakcyjnej historii, od pragnienia by życie nie okazało się musztardą po obiedzie. Mimo, że główna bohaterka (bohater?) jest bardzo młodą osobą, niesie w sobie smutek i ból przemijania, żal po utraconych marzeniach, i co tu dużo ukrywać – beznadzieję. Szokującym zdawać się może, że młody człowiek sięga po tak gorzki temat. Lecz mimo to, Monice Chybowskiej należą się wielkie brawa. Podjęcie egzystencjalnych tematów, w tak niebanalny sposób, to wyraz odwagi, jakiej powinniśmy oczekiwać we współczesnym teatrze. Jestem zdecydowanie skłonny rzec, że Pani Chybowska powinna dalej rozwijać swoje umiejętności aktorskie. Talentem zdecydowanie grzeszy. A do tego, co ważne, wzruszyła mnie. Jest też dyplomantką Wiedzy o Teatrze, co jeszcze bardziej pogłębia zachwyt nad jej osobą.

Ukłony należą się również Marcelinie Kowalewskiej i Agnieszce Salamądry, które idealnie wpisały się w historię MonioRa. Ich pełna absurdu gra przekuła z pozoru banalne kwestie w dopełniające tęsknotę głównego bohatera chwile „tu i teraz”.

Mamut jest zabawny, oderwany od rzeczywistości, jednak oferujący przyjaźń i pomocną dłoń. Można z nim popatrzeć na perseidy i to jest ten moment szczęścia, na który wszyscy czekamy. I nieważne, że to może ułuda, może pozornie nic nie znacząca chwila. Ważna jest ta sekunda spełnienia, zapomnienia.

Terapeutka, oschła, brutalna, tak bardzo odwrotna od tego czego oczekujemy w gabinetach pomocy. Ona nie owija w bawełnę, mówi nam wprost, że nie unikniemy rzeczzonej musztardy. Spektakl skwirczy humorem, grą słów, a także dość ponurym przesłaniem. Wierzę jednak, że w tych młodych osobach tli się nadal wiara w to, że życie może być piękne. Wszakże mówią, że lubią wywoływać śmiech i uśmiech. W moim przypadku się udało. Równie interesujące jest nazywanie spektaklu na trzy aktorki, monodramem. Otwiera to nową przestrzeń, ale i również zmusza widza do poszukiwania aktorki wiodącej i skupienia się na niej. W moim przypadku wszystkie trzy postaci jawiły się jako jedność. Rozbełtane meandry człowieczeństwa. Odczytuję to jako walor. Warto pochwalić wykorzystanie śpiewu (brawo Karol Świtajski), interakcję z widzem, meta-poziomy, minimalistyczną scenografię, grę w maskach, efekty świetlne, oraz mocne głosy, pracę ciałem i perfekcyjną dykcję wszystkich aktorek.

„Moniordram” to godny polecenia kawałek sztuki, pozwalający zrozumieć jak ciężko odnaleźć się człowiekowi w pełnej kolein egzystencji. Jak się odnaleźć? Ja też „dunno”. Ale życzę artystkom by namiętnie „wychodziły ludziom z lodówki”! Czy zostawiły coś po sobie? Tak, i to bezsprzecznie nie był „syf”. Carpe, k...a, Diem! „Grajcie tak dalej”!

Ps. We wzruszającej scenie gdy MonioR stoi na krzesełku, roni błyszczące łzy i śpiewa, powróciłem myślami do czasów, gdy Pocahontas śpiewała „Kolorowy Wiatr”. Pragnę wierzyć, że MonioR to taka współczesna Pocahontas, też jest mu trudno odnaleźć się w tym co nadchodzi. Lecz to będzie tylko świat, tylko świat...

Dariusz Zakrzewski
Ocena 5/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

ŁÓP 74

34. ŁÓDZKI PRZEGLĄD TEATRÓW AMATORSKICH

9/10.10.2021

w sieci

więcej informacji:
Zespół ds. Teatralnych ŁDK
tel. 797326199, 797326205
teatr@ldk.lodz.pl
www.ldk.lodz.pl
www.facebook.com/lopta.ldk



ŁÓDZKI DOM KULTURY
INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO



województwo
łódzkie

